



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1.20 zł – 8 stron

Warszawa, 30 stycznia 1955 r.

Nr 5 (253) Rok VI

JERZY PIÓRKOWSKI

Wszyscy jesteśmy odpowiedzialni

Muszę przyznać, że czuję się mocno nieswojo. Mam pisać o swoich młodych przyjaciół, a przecież tyle już słusznych uwag poświęcono w ostatnich czasach tej sprawie. Co tu dodawać jeszcze? Chyba raczej poukładać w głowie, uporządkować, wyciągać wnioski na przyszłość.

Co więc warto dzisiaj przede wszystkim wziąć pod uwagę, jeśli się chce w ogóle o tej sprawie pisać czy mówić? Dwie rzeczy podstawowe.

Nie można oddzielać spraw młodzieży, jej życia, jej wychowania, jej organizacji i występujących tutaj braków — od całokształtu naszego życia i naszych bolączek. Młodzież nie żyje w próżni społecznej, jest częścią narodu. Słusznie mówimy, że wszyscy za nią ponosimy odpowiedzialność. Ale trzeba też, dla jasności obrazu, powiedzieć, że wszyscy również w jakiś sposób odpowiadamy za jej niedomaganie, powtarzam: **w s z y c y**.

Druga sprawa — chyba także dość oczywista — to stwierdzenie, że obecna fala dyskusji również nie spada nagle i niespodziewanie jak kometę z nieba, ciągnąc nareszcie warkocz oślepiającej jasności i przenikliwości. Raczej chyba obserwujemy jej nowe nateżenie, nowy etap. Bo czyż to nie o młodzieży pisał rok temu swój alarmujący artykuł Roman Karst w „Przeglądzie Kulturalnym”? Czyż to nie o żywotne sprawy wychowania młodzieży chodziło, kiedy poddawano krytyce podręczniki do nauki literatury? To na łamach „Nowej Kultury” wydrukowano „Pamiętnik uczennicy” i list młodych chłopców z Rożnicy i próbowano je komentować. Na łamach „Życia Warszawy” zorganizowano pierwszą ciekawą dyskusję o wychowaniu naszej młodzieży. Niezależnie od wad i zalet poszczególnych wypowiedzi jak wiadomo, dyskusja polega na wymianie różnych, nieraz całkiem przeciwstawnych zdań i osądów. Wtedy gdy wszyscy mówimy rzeczy jednakowe i słuszne, nie ma dyskusji — każda z nich była na swój sposób bodźcem zwracającym uwagę naszego społeczeństwa na ten problem. Nie dość na tym, jestem gotów twierdzić, że wszystkie one zrodziły się ze szczególnej troski o młodzież, były przejawem społecznej aktywności i odpowiedzialności.

Wspominam o tym wszystkim bynajmniej nie ze względów przyczynkarskich; mając na uwadze ewentualną pracę magsisterską przyszłego absolwenta studium dziennikarskiego, ale po to, aby z kolei stwierdzić, że podobnie jak nie można izolować życia młodzieży od wszechstronnego życia naszego społeczeństwa, tak samo nie można mówić o życiu i pracy organizacji młodzieżowej bez uwzględnienia życia, potrzeb, bolączek, zainteresowań całej

naszej młodzieży. Jestem nawet pewien, że to powinien być punkt wyjścia w pracy organizacji. Czym ma być dla młodzieży jej zetempowska organizacja? Bo przecież nie młodzież jest dla „aparatu” ZMP.

Wiem, wiem, że w tym momencie każdy co bardziej biurokratyzowany działacz zetempowski spojrzy na mnie z wysoka. — Wiadomo, kolego — odpowie szybko i zgrabnie jakby przełykał kluskę — mamy w myśl ostatnich wytycznych wychowywać młodzież. Byłbym może jemu i innym podobnym uwiarył jeszcze raz na to jedno słowo, gdyby nie dość powszechne i znane doświadczenia z przeszłości. Do niedawna bowiem szeroką strugą przy byle okazji płynęło odmieniane przez wszystkie przypadki inne słowo którym zamykano opornym (i doprawdy myślnym) ustami. Brzmiało ono: **m o b i l i z o w a n i e**. Dzisiaj już wszyscy naogół wiemy, że słowo to, zamienione nawet w czyn — staje się frazesem papierkowym, szamańskim zaklęciem, gdy nie jest poparte pracą wychowawczą, działalnością wychowawczą organizacji. Ale mnie znowu z kolei ogarnia trwoga, kiedy widzę jak ci sami ludzie „od przełykania kluszek” powtarzają je również bezmyślnie, jak poprzednio już przebrzmiałe zaklęcia. A ja jako marksista nie wierzę w zaklęcia. Nie wierzę w etatowych frazeologów, którzy dzisiaj przysrajają się w tożę łatwutkiej krytyki.

Lubię ludzi śmiało krytykujących, torujących drogę krytyce, ale nie cierpię kopiących leżącego. W takim wypadku raczej, jak to normalnie w życiu bywa, obowiązkiem jest — pomóc poszkodowanemu. A pomaga się nie tylko w ten sposób, że się rozdrapuje ropiejące rany, wyciska materię. To dopiero część, i to łatwiejsza, roboty. Trzeba dalej rany przepluć, obmazać, trzeba stworzyć warunki po temu, aby chory do niedawna człowiek stanął wreszcie mocno na nogi. Aby nie osłabił nam znowu za najbliższym rogiem.

Niedawno w swej wypowiedzi drukowanej w „Sztandarze Młodych” towarzyszył Stanisław Klimas uczynił zastanawiającą uwagę. Pisał on m. in.:

„Należę już do nieco starszej generacji — mam 34 lata. Okres mojej młodości przypada na ostatnie lata przed wojną. Jako syn chłopca musiałem poprzestać na ukończeniu wiejskiej szkółki, gdyż o szkole średniej nie mogłem nawet marzyć. Głód wiedzy zaspokajałem czytaniem książek i gazet. Ciekawiło mnie życie i świat. Pociągała mnie walka o prawa i chleb. Biegałem czasami po 30 kilometrów pieszo na zgromadzenia chłopskie, aby tam w gromadzie usłyszeć gorące słowa buntu przeciwko rządowi magnaterii i nabierać wiary w słusność wal-

ki. Dzisiaj porównuję swoją młodość z warunkami, jakie ma nasza młodzież. Nie da się to w ogóle porównać. Pomimo tego dostrzegam ze zdumieniem, że wielu młodym ludziom brak entuzjazmu do pracy w kołach ZMP. Poza garstką młodzieży chętnej i ofiarnej widać młodzież unikającą świetlicy, uciekającą z zebrań itp., nie mówiąc już o tym, aby można było od kogoś za-

żądać pójścia kilku kilometrów piechotą na zebranie do „gromady”.

Dziwi się więc, zdumiewa, ubolewa tow. Klimas, i nie tylko on. Wiele starszych, często na bardzo odpowiedzialnych stanowiskach towarzyszy, ludzi zahartowanych w bojach klasowych myśli podobnie: co się stało z tą młodzieżą.

A ja myślę, że warto pójść dalej i spytać, dlaczego, gdzie się kryją

przyczyny tego prawdziwego stanu rzeczy. Czyżby młode pokolenie duchowo karłało? Naturalnie taki osąd byłby z gruntu niesprawiedliwy, z gruntu fałszywy. Ja osobiście odważę się na twierdzenie, że w dziejach naszego narodu nie mieliśmy jeszcze tak wykształconej i potencjalnie zdolnej i energicznej młodzieży. Cóż chcecie, dziesięć lat Polski Ludowej robi swoje. Tylko że

nie można, nie wolno oceniać młodzieży głównie na podstawie frekwencji zebrań zetempowskich, bo to do niczego dobrego nie doprowadzi. Trzeba sobie raczej powiedzieć otwarcie i pełnym głosem, że ZMP jako organizacja nie zdołał nawiązać głębszej, poważniejszej łączności z młodzieżą i zetempowską, i niezorganizowaną. Dlaczego tak się dzieje? Otóż jest pewna pozorna logika w wypowiedzi towarzysza, którą przytoczyłem. I jemu w jego przedwojennej działalności i dzisiaj młodym zetempowcom przyświeca jedna i ta sama idea, idea sprawiedliwa, idea piękna. Młodzi ludzie byli z zasady nie tylko opoką, ale także często główną opoką polskiego ruchu rewolucyjnego. Czy mam przypominać ile lat mieli Waryński, Kunicki, Bohuszewicz, Piętrusiński kiedy zostali aresztowani za działalność w „Proletariacie”? Dwadzieścia bodaj lat liczył sobie Feliks Dzierżyński kiedy wspólnie z Antkiem Rosolem poczał odbudowywać SDKPiL. A Róża Luksemburg w okresie rewolucji 1905 roku, a Stefan Okrzeja? I tak można by cytować dziesiątkami, setkami, tysiącami. I wybitnych przywódców i prostych, często niesłusznie zapomnianych żołnierzy robotniczej sprawy.

Dlatego młody robotnik garnał się ochoczo do tych szeregów? Dlatego, że Partia walczyła o jego prawa do lepszego życia. Burżuazja gnębiła go, pogardała nim, próbowała utrzymać w ciemności. Ludzie Partii walczyli o jego sprawiedliwsze zarobki, uczyli prawdziwego wejrzenia na świat, dawali do ręki mądre i piękne książki, dbali w miarę posiadanych możliwości o zaspokajanie potrzeb kulturalnych. Warto tutaj przypomnieć, że Feliks Dzierżyński był — jak to się u nas pisze — płomiennym rewolucjonistą, między innymi dlatego, że był — jak to mawiał o nim żartobliwie Marchlewski — „Kmicicem”, tak czupurnym i tak bezpośrednim, że posiadał ładny głos i często wspólnie z towarzyszami chodził na majówki, pomagając przy okazji w rozwijaniu twórczości amatorskiej, oświatowej. Piszę o tym nie bez korekty i wiem (tutaj ukłon w stronę besserwisserów), że główną siłą, główną rzeczą, głównym magnesem była walka. Ta walka, która owiewała nieklamany romantyzmem także powojenne pierwsze lata ZWM-u.

Ale potem rozbito bandy, podniesiono z ruin fabryki. Pracować z młodzieżą — było coraz trudniej. Coraz trudniej. I tak doszło do dzisiejszego stanu: młodzież nasza w swojej masie dzięki sprawiedliwości naszego ustroju zrobiła ogromny krok naprzód. Umie coraz więcej, żyje coraz kulturalniej. Szerzej, ciekawiej patrzy na świat. Zmieniły się zainteresowania młodych robotników, chłopów, inteligentów. Nie dziwnego. Są gospodarzami swojej ojczyzny, więc muszą myśleć i żyć tymi kategoriami. Nie potrzebują wszak toczyć dopiero walki o wyzwolenie. Nie mogą się jednak oprzeć wrażeniu, że jeśli chodzi o formy pracy i propagandy — na dawnym etapie pozostał ZMP. Ze przybiera to niejednokrotnie karykaturalne, często żalonne formy. Nic dziwnego, takie jest prawo życia wobec tych co pozostają w tyle.

Czym żyje i jakie ma dzisiaj zainteresowania młodzież? Mam możliwość przeglądać co miesiąc kilkadziesiąt przesyłanych listów nadsyłanych przez młodych ludzi. Dość często z nimi rozmawiam. I ja nie odkryję Ameryki, wszyscy powinniśmy o tym wiedzieć. Młodzież nasza ma w swojej masie normalne, zdrowe zainteresowania i nienawidzi szarżyzny, frazesu, biurokracji we właściwym znaczeniu tego słowa (przechodzenie do porządku dziennego nad potrzebami i bolączkami prostego człowieka, bezdusność). Pasjonuje się natomiast ciekawą książką i dobrym filmem, powszechnie kocha sport, zdradza ogromne zainteresowanie dla nowoczesnej techniki, wiedzy i jej perspektyw rozwojowych. Nurtują ją problemy natury moralno-obyczajowej, ideowej. Wyobraźmy sobie teraz, że tacy normalni młodzi ludzie, o normalnych, godnych pochwały zainteresowaniach (chyba tak?) zostają członkami ZMP. Idą tam, bo żyją w Polsce Ludowej, bo wiedzą, że ZMP jest i c h o z a n i z a c j a. Co tam robią? Z grubszą chodzą na zebrania i manifestacje. Co jest na zebraniach i manifestacjach? Z grubszą program ustalony „odgórnie” — według informacji tow. Szydłaka, na 21 zebrań przeciętnego koła ZMP program 17 (siedemnastu) był ustalony odgórnie: przez Zarząd Główny, Wyobraźmy sobie teraz dalej,

(Dokończenie na str. 2)



Z filmu „Pokolenie”. Scen. B. Czeszko, reż. A. Wajda. Tadeusz Janczar jako Jaś Krone.

JERZY BROSZKIEWICZ

W sprawie sielanki i katastrofy

*

W roku ubiegłym byłem w stałym kontakcie z warszawskim Kołem Młodych, zetknąłem się z przedstawicielami innych kół na zesłorocznym zjeździe w Oborach, przez kilka ostatnich miesięcy uczestniczyłem w redagowaniu „Przedpola”, dodatku kulturalnego do „Sztandaru Młodych”. Dlatego też chciałbym tu zająć się problemem najmłodszego pokolenia literackiego, które ma za sobą zarówno doświadczenia „sielanki” jak „katastrofy” — a jest właśnie pokoleniem naszych najmłodszych kolegów i towarzyszy.

Powróćmy jeszcze do historii, bo łatwo jest powiedzieć „sielanka” i „katastrofa” — ale przeżyć? Chyba nielato. Doświadczenia te winny stać się przesłankami do wniosków — praktycznych, realnych wniosków na przyszłość najbliższą i dalszą. Jestem głęboko przekonany, że wśród najmłodszych są talenty, od których — kiedy rozbłysną — wieść „starszym” ciemno się w oczach zrobi... Mniejsza zresztą o żarty — jestem bowiem głęboko przekonany, że najbliższe lata przyniosą bogaty, cenny zbiór debiutów. Warto jednak przypomnieć niektóre fakty z niebardzo dalekiej przeszłości. Głównie po to, by się nie powtórzyły w przyszłości. Przyniosły bowiem one sporo szkód moralnych, sporo szkód artystycznych. Ofiarą zaś padła niemała część najmłodszych, a odpowiedzialność ponoszą nie tylko oni.

Oczywiście przesadzam — oczywiście upraszczam. Ale odnoszę wrażenie, że wokół spraw młodzieżowych istotnie wytworzył się klimat starych i nowych nieporozumień, starej obojętności i nowej historii — klimat, który znowu deformuje obraz życia naszej młodzieży. I dlatego z gorącą satysfakcją czytam artykuły Kozickiego („Nowa Kultura”, nr 4) i Ślucckiego („Przegląd Kulturalny”, nr 3), pełne zarówno troski jak zaufania do pokolenia ostatnich kilku lat — do naszych najmłodszych kolegów i towarzyszy.

Rejestr szkód? Wymienimy owe najpopularniejsze, krążące w środowisku żartu pod adresem pokolenia debiutantów. A więc: cynizm i nieuctwo, przedwczesny profesjonalizm i grzeźniactwo, sekiarstwo i liberalizm. Wreszcie cygańskie obyczaje, gest jak u Miti Karamazowa, okrzyk: „Ja jadę!”

Wystarczy. Wystarczyłoby materiału na czarną powieść, gdyby to była cała prawda. Kłamie jednak i oszukuje prawdę ten, kto dojrzy „tylko” tyle. Rozdzierający szaty „katastrofiści” przypominają uczonych scholastyków, dla których antypodzi chodzili do góry nogami. A może raczej pastora ze szkółki niedzielnej, który z nagłym przeobrażeniem spozurzył, że nie udało mu się przekonać wychowanków o tym, jakoby ludzie rozmnażali się w y ł a c z n i e przez pączkowanie.

Wydaje mi się, że w duszach młodych artystów nieustannie rosną ostre konflikty między szlachetnością, „starszym” ciemno się w oczach zrobi... Mniejsza zresztą o żarty — jestem bowiem głęboko przekonany, że najbliższe lata przyniosą bogaty, cenny zbiór debiutów. Warto jednak przypomnieć niektóre fakty z niebardzo dalekiej przeszłości. Głównie po to, by się nie powtórzyły w przyszłości. Przyniosły bowiem one sporo szkód moralnych, sporo szkód artystycznych. Ofiarą zaś padła niemała część najmłodszych, a odpowiedzialność ponoszą nie tylko oni.

Tak więc tamte ciężkie żartu mają pokrycie w faktach. Rzecz w tym jednak, że nie stanowią ich jedynie treści. A poza tym nie groźna żywiołowa katastrofa. Historyczne niepokoję obecnych „katastrofistów” są najprawdopodobniej

naturalnym następstwem dawnych sielankowych nastrojów tych samych ludzi. Przerażeniem malarza, który nagle dowiedział się, że tęcza ma siedem barw, a nie tylko dwie — czarną i białą.

Byłem skłonny wziąć początkowo udział w gromkim chórze „katastrofistów”. Kilka razy mówiłem o tym w sposób paniczny. Potem jednak zacząłem gromadzić doświadczenia i podejrzenia. Wniosek ogólny, najogólniejszy był taki: odpowiedzialność ponosimy wspólnie. Dalej: zasięg odpowiedzialności obejmuje centralne wydawnictwa i terenowe redakcje dzienników, „Nową Kulturę” i oddziały ZLP, powiatowe i centralne władze ZMP, RSW „Prasę” i...

O odpowiedzialności można by nieskończenie. Ale spróbujmy dyskutować sprawę możliwie konkretnie i — co jest głównym moim działaniem — praktycznie. Spróbujmy wyjaśnić sprawy najbardziej zasadnicze, najgroźniejsze i najpilniej wymagające naprawy.

Przede wszystkim chciałbym zaprzeczyć przeciw pewnej legendzie — przeciw sielankowej legendzie o łatwości debiutu i startu.

Istnieje szereg pozytywnych przyczyn powstania tej legendy. Łatwość uzyskania kontaktu ze Związkiem Literatów, stypendia Ministerstwa Kultury, stypendia Związku, ogólna przychylność prasy dla młodego pióra. Z perspektywy na

(Dokończenie na str. 2)

Do pewnego momentu trwała sielanka. Mieliśmy świetną młodzież, niezwykle zdolnych młodych poetów i malarzy, wspaniałych „chłopców z awansu”.

Przez publicystykę, felieton i powieść płynął nurt idylliczny i żaden harcerz nie stłukł sobie kolana, żaden zetempowiec nie pochulił, żaden dziewczyna nie trafiła na łajdaka, żaden młody poeta nie odmówił napisania sonetu w sprawie akcji X, akcji Y lub akcji Z. Wydawało się, że jesteśmy w klasie wzorowej szkoły, gdzie każdy uczeń jest na tyle młody, że wszystko umie, i na tyle dojrzały, by z góry wiedzieć, czego sobie życzy profesor. Świadectwa, które wypisywaliśmy młodym, były świadectwami prymusów — bo jeśli nawet wiersz o akcji Z był bzdurą a opowiadanie o akcji Y antyrealistyczną brednią, to jednak zadanie szkolne uwzględniało redakcyjny temat i redakcja wypisywała honorarium według stawek. To ostatnie zjawisko nazywaliśmy od czasu do czasu ułatwieniem startu.

Potem skończyła się sielanka. Mniejsza w tej chwili o to, czy „Pamiętnik uczennicy” stał się tylko szkodliwą sensacją. Był jednak początkiem dyskusji, która w ostatnich miesiącach rozwinęła się już na dobre — na dobre w sensie ilościowym i co ważniejsze, jakościowym.

Nie można jednak pominąć pewnego charakterystycznego zjawiska. Kiedy nagle skończyła się sielanka,

(Dokończenie na str. 2)

M Ł O D Y C H

WANDA TRĄPCZYŃSKA

Zamknięcie drzwi

Znam już nieco życie. I w różnych odcieniach. Łąki szczęścia. Wertepy cierpienia. Wiem, co to jest wstawać nocą do swych chorych dzieci. Cieszy mnie każdy promyk słońca, który świeci. Zachwyca mnie Beethoven, jak i słowik mały. — Przy mnie domy Warszawy w gruz się rozpadały. — I znam samotne nocne rozmyślania, gdy jasnej myśli — w ciemności — nie już nie przesłania, a śpiących dzieci oddechy jakby nierealne... — Przy mnie, jakże realne: życie i śmierć. — Dwa zagadnienia. Podobnie mi się kiedyś wyłoniła z mroku prosta i zrozumiała Conrada „Smuga cienia“. — Tak i dzisiaj drzę cała, bo wydaje mi się, że w nurt trafiaam najgłębszy, i widzę, jakbym w życiu widziała raz pierwszy: — Dopiero żyjąc dojrzałe, właśnie żyjąc pełnią zdobywa się krok za krokiem wiedzę umierania. O ulgo! — Więc nie ma bezgłonnego, ślepego konania! Śmierć przeżywamy — żyjąc. Przeżywamy tak — jak chcemy. Więc to jest jeden węzeł! Żyjemy — umieramy. Umieramy — żyjemy.

Codziennie w swej świadomości życie swe żegnamy i codziennie odnajdujemy — jakże stokrotniejsze! Blizy nam stają się bliżsi. — I kwiaty piękniejsze. I w Ojczyznę jedyną wrastamy silniejsi. — I chcemy do końca pracować, cierpieć, być szczęśliwi... — Chcemy żyć — i umierać! A samo odejście — to będzie już tylko — zamknięcie drzwi.

LUDMIŁA MARIANŃSKA

Colosseum

Gdy z ruin Colosseum, wspaniałej budowli, wzięto kamień, ażeby pobudować wille — czy było to jedynie aktem barbarzyństwa?

Opletli włnem kamień właściciele nowi, w ogrodach wszesły róże, rozkwitły motyle, mur ożył szeptem kobiet i śmiechem dzieciństwa.

Wspaniałość dawnych murów, z których świętokradczo i beztrosko zarazem czyniono użytek, czy nie zamaria z chwilą, gdy życie w nich zgasło?

Od ruin malowniczych, chociaż silniej świadczą o przeszłości niż dawnych pergaminów zwitek, wolę tętniące życiem, rozśpiewane miasto!

Może po to jest wielkość, aby ją rozdrobnić, przystosować do serca, sobie upodobnić, jak mury Colosseum: były też i po to, ażeby ktoś do domu powracał z tęsknotą, do domu, co oddycha, uśmiecha się, żyje.

A ruiny są smutne, jak serce nliczyje.

JERZY FELIKSIĄK

Przed fabryczną bramą

Jesienne słońce zeszło ze szczytów południa I przyćmione dymami skryło się za chmury. Przy pobliskiej fabryce dąb, jak dobry włókniarz, Babie lato przed deszczem w gałęziach swych ukrył.

Zegar z wieży syrenę fabryczną obudził, Więc żałośnie, lecz szorstko buczała przez chwilę I przed bramą fabryczną wywołała ludzi O włosach rozjaśnionych bawelnianym pyłem.

Już zabrzmiały rozmowy, żegnania — do jutra! — Wśród gwaru tkaczy zwykle odchodzą od bramy. Mężczyźni przed odejściem piwo piją w budkach. Wszystko takie codzienne. I nagle — bociany!

Ktoś przy piwie do góry odchyliwszy głowę Zobaczył je na niebie i krzykiem powitał. Lecz bociany leciały w strony południowe I nie chciały gniazd szukać na łódzkich fabrykach.

Nikt ich za to nie winił. Nikt nie żegnał wzgardą I nie wiatr oczy wszystkich skierował w ich stronę: Jest czułość, której serce dziś się nie wyparło, Czułość, którą z dzieciństwa zachowuje człowiek.

JAN ZYCH

Do albańskiego inżyniera

Pashkowi Pepa
byłemu studentowi A.G.H. w Krakowie

Nie byłem nigdy w twoim kraju, nie błądziłem po polach Zadrimy, gdzie latem zboża dojrzewają, kolysane dziewczęcym śpiewem.

Nie byłem nigdy, lecz znam na pamięć Shkodër w pierścieniu rzek i drogę, co w górach się lamie, jak biała wstążeczka na wietrze.

Znam w twoim mieście każdą ustron, wszystko, co człowiek stworzył i jezioro, gdzie woda gładka jak lustro na uśmiech odpowie uśmiechem.

W albańskich górach warstwom miedzi także i twoja dłoń potrzebna. Niech w góry z tobą wiersz mój leci i połączy dwa orłów kraje.

BARBARA REWKIEWICZ-SADOWSKA

Profesor

Profesor siedział przy biurku zawałonym książkami. Człowiek patrzący z boku powiedziałby: stary Faust powstał z grobu, aby znów ślepieć nad alchemią.

Pokój był ciemny, ponury, książki piętrzyły się na podłodze, na stołkach i półkach. Wielka, brzu-chata szafa zasłaniała część okna. W mdłym świetle, które przepuszczały zabrudzone szyby, wirował kurz; na tle ciemnej tapety biała głowa staruszka świeciła jak lampa. Był ubrany w staromodny tużurek, spodnie w paski i ciepłe, filcowe bambosze. Opierał nogi na grubym, wołokowym dywaniku. Od podłogi jednak wiało chłodem i przez dywanik. Co kilka godzin zrywał się ze swego miejsca i przebiegał pokój drobnymi krokami. Ręce wciskał wtedy w kieszenie tużurka, a głowę zadzierał do góry, jakby z sufitu chciał wyczytać wytłumaczenie ksiąg Ramayana.

Profesor od wielu lat śleczął nad dziełami sanskrytu i prakrytu. Pisał kilkutomową pracę o wpływie rytuałów wedyjskich na przedklasyczną literaturę sanskrytu. Praca była jego życiem: odbierała mu sen, wszystkie myśli i uczucia. Tkwił bez reszty w epoce staroindyjskiej; nawet wojna nie potrafiła go wyrwać z tamtych odległych czasów. Los łaskawie mu na to zezwalał. Szczęśliwym trafem mieszkanie jego i księgi ocalały z wrzesniowego oblężenia miasta, a był miał zapewniony dzięki pomocy wychowanków i uczniów, Mie-

siącami też nie wychodził ze swojej nory. Pracował. Od wydarzeń okupacji oddzielały go grube mury starej kamienicy, sterty książek i rękopisów. Przede wszystkim jednak własne myśli.

Nawet najbliżsi przyjaciele uważali go za dziwaka. Wśród innych panowała opinia, że jest po prostu ponury. Nie czuł się bynajmniej nieszcześliwy z powodu niechęci ludzkiej — samotność sprzyjała pracy.

Prawie każdy ma swoje marzenia i pasje. Rzadko kto tylko ma cierpliwość realizowania marzeń i zdolność nie rozmieniania na drobna monetę swoich pasji. Profesor posiadał i tę zdolność, i wytrwałość. Księga jego rosła, on sam kurczył się i zacieśniał: przeżywał wypadki sprzed stułeci, nie potrafił przejąć się tym, że po ulicach Warszawy maszerują obce wojska.

O wydarzeniach i plotkach politycznych informowała go co dzień doręczyni, która przynosiła mu o-biad i produkty, a czasami, od wielkiego święta, sprzątała mieszkanie. Kobiecina, w przeciwieństwie do profesora, nie potrafiła przez moment skupić myśli na jednym temacie i czuła się nieszcześliwa, kiedy zmuszona była zamilknąć. Staruszek słuchał jej gadaniny, tak jak się słucha plusku deszczu czy cykania zegara. Tylko niektóre zdania docierały do jego świadomości. Najgorsze wieści nie wytrącały go ze zwykłego spokoju.

— Pani Marcinowo — mawiał do niej czasem — na tym świecie tyl-

ko nauka i sztuka mają jakąś wartość. Nie przejmujemy się rzeczami, które nie mają znaczenia!

Marcinowa wzruszała ramionami i wychodziła z mieszkania wzdychając.

— Biednemu staruszkowi coraz bardziej się we łbie przekręca od tych książek — opowiadała sąsiadkom w kamienicy.

A profesor nadal śleczął nad księgami i rękopisami. Znajdywał w nich radość i równowagę ducha, znajdował ujście dla szlachetnych pasji i zwykłego egoizmu.

Tego dnia siedząc przy biurku rozkoszował się poezją Kalidsa. Strofy wiersza napelniały go spokojnym szczęściem. Widział nieznaną kraj — gorący i kolorowy. Ptaki były tam barwniejsze od kwiatów, a uczucia ludzkie gorętsze od powietrza.

Melodyjną shlokę przerwało ciche stukanie w drzwi. Nie był przyzwyczajony do odwiedzin i nie pragnął widzieć nikogo. Nie ruszył się z miejsca. Kiedy jednak chrobot powtórzył się, z weschnieniem wstał od biurka, podszedł do drzwi i otworzył je.

Musiał zniżyć wzrok i nałożyć okulary. Przed nim stało dziecko — może pięcioletnia dziewczynka. Była bosa i obdarta. Z całej postaci widać było tylko wielkie, ciemne oczy, które patrzyły na niego ze strachem.

Profesor chrząknął, pochylił się do małej i spytał tonem jakim rozmawiał kiedyś z najmłodszymi uczniami:

— Czego, chcesz, kochaneczko? — Chleba — odpowiedziała bez namysłu.

Oczy jej patrzyły teraz z nadzieją.

Przypomnił sobie, że Marcinowa przyniosła już jedzenie i ucieszył się.

— Wejdziesz, dostaniesz cały obiad.

Taki gość był o wiele miłszy niż dorośli nudziarze. Posadził małą na krześle w kuchni, postawił przed nią pełen talerz zupy, bochenek chleba i puszkę ze smalcem.

— Nie krępuj się, kochaneczko! — zachęcił ją do jedzenia, ale zaraz zrozumiał, że pisał głupstwo.

Mała rzuciła się na obiad jak głodny zwierzątko. Pakowała do ust wielkie kawały chleba i lykała je nie przegryzając, łyżką nabierała smalec, zupę piła prosto z talerza. Ciemne, zlepione włosy opadły jej na twarz, zakrywając oczy. Teraz było widać wyraźnie całą postać dziecka. Nogi jej zwisały ze stołka jak suche gałązki wierzb, były sine i pokryte strupami, głowa wydawała się nieproporcjonalnie duża przy cienkiej jak lodyga szyi i wąskich ramionach.

Dopiero teraz uświadomił sobie,

że musiała być Żydówką. Przypomniał, co Marcinowa mówiła o getcie. Zatrząsał się.

Patrzył na dziecko i czuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. Osobliwe uczucie: nie było litością ani wzruszeniem. Było czymś jeszcze innym. Dreczyło jak wyrzut, jak ciężka rozterka.

— Słuchaj! — powiedział do małej, kiedy skończyła już zupę i wyliżała talerz. — Masz matkę, ojca? Skurczyła się, Milczała.

— Nie żyją?

— Oni trafili mamę w głowę, za raz upadła, a tatę to zdeptali butami — wyjaśniła w końcu. — A ja wtedy uciekałam w gruzy.

— Tak, tak — Zmarszczył brwi. — A więc jesteś zmęczona, musisz odpocząć.

Zaprowadził dziecko do pokoju, ułożył na kanapie i opatulił kocem. Wyglądała jak kociak z błyszczącymi oczami i małą mordką wystającą znad przykrycia.

Zaczął chodzić po pokoju drobnymi krokami, a ona wodziła za nim oczyma, potem zmruczyło powieki Zasnęło.

Przystanął koło kanapy. Patrzył znów na dziecko, które oddychało przez otwarte usta. Miało teraz wyraz domślej, zękaney kobiety. Usiadł w fotelu i chciał zebrać myśli. Ale po raz pierwszy nie potrafił ich skupić — rozlażyły się jak mdgnięta sieć „Starzeje się, albo... może, zaczynam od nowa?...”

Na schodach buczały kroki, tam i z powrotem, trzaskały jakieś drzwi, na górze i w dole. Usłyszał wreszcie ten hałas. Na palcach przeszedł do przedpokoju i przygłnął uchodem do dziurki od klucza. Działo się z nim naprawdę coś dziwnego, nigdy jeszcze nie podsłuchiwał. Ale i tak, wszystko co robił i myślał od godziny było czymś nowym i pierwszym.

Męski, basowy głos odezwał się po niemiecku pod samymi drzwiami:

— Tu nie byliśmy. — Szkoła czasu — odpowiedział inny, piskliwy. — Znam tu wszystkich. Też na pewno nikogo nie ukryje.

— Dlaczego? — spytał bas. Profesor nie dosłyszał odpowiedzi, gdyż zbiegli ze schodów.

Wrócił na palcach do pokoju, zatrzymał się znów nad śpiącą.

— Dlaczego?... — powtórzył. Przez chwilę stał nachmurzony, ale nagle podniósł głowę i rozpogodził się.

Czasem wystarczy tylko postawić właściwe pytanie.

Teraz zakrzętnął się, aby prześledzić łóżko. — „Ona będzie spyła tutaj, a ja na kanapie” — zdecydował.

Barbara Rewkiewicz-Sadowska

TADEUSZ STRUMFF

GIPS

Sprowadziliśmy się na nowe mieszkanie w osiedlu Koło. Między podłogą a ścianami — skutkiem niedokładnego wykonczenia — była szpara, którą postanowiliśmy zlikwidować.

Zona rozrobiła w małym naczyniu trochę gipsu i zabrałem się do pracy.

Ale śnieżno-biały gips teżał bardzo szybko, toteż żona już kilka

razy nosiła naczynie do kuchni, by dolać wody, gdy ja kłęczałem nad szparą i wygładzałem palcami zagipsowaną smugę.

Spieszyłem się, ale nie nadążałem za stygnącym gipsem. Była to dziwaczna gonitwa.

Kiedy szósty raz gips w naczyniu odmówił mi posłuszeństwa, nie miałem sumienia prosić żonę o rozrobienie go pod kranem.

Poszedłem do kuchni sam.

Widać, rozrobiłem materiał mniej umiejętnie niż żona, bo gdy zabrałem się do pracy, gips już stężał.

Zbliżyłem naczynie do oczu jakbym — głęboko zdziwiony właściwościami białej materii — chciał dostrzec gołym okiem przemiany zachodzące w jej atomach.

I wtedy właśnie, schylony nad naczyniem, pojąłem do samego sedna zwrot:

„Ludzie z zagipsowanymi ustami”.

W czasach okupacji często słyszałem te słowa. Hitlerowcy prowadzili patriotów na egzekucję gipsując im usta. Chcieli odebrać tym ludziom ostatni głos.

Wiedziałem, że tak było, i to napawało mnie grozą.

Ale dopiero dziś — po dziesięciu z górą latami — odczułem, co znaczy: „Ludzie z zagipsowanymi ustami”.

Na sinych wargach gips teżał, zastęgał prędzej niż skażący zdażyli przejść parę kroków.

Białe, śnieżne gipsy...

Bywa tak, że jakaś prawda, słowo jakieś, zwrot — staje się naszą własnością, nie zaraz, ale w najmniej oczekiwanych momentach.

Kiedy jednak dojdzie poza świadomość — kiedy nasyci sobą każdy myślı i nerw — nie już nie zdola wyrwać go i spłycić. Zastyga w nas nieodwołalnie.

Zona — skłonna zwykle do kwękań pod moim adresem — podeszła teraz cicho i położyła mi rękę na ramieniu.

Tadeusz Strumff



Studium.

Rys. Walerian Borowczyk

BOŻENA GRABOWSKA

Marzec

Chmurzyło się, padało,
Lśnią chodniki od kaluży.

Ślotno, wietrzno i ciemno —
Chodź się waleśać ze mną.

Wieczór mokry i czarny,
Migocące latarnie,

Piję wilgoć oddechem,
Do ciebie się uśmiecham.

Zimny, przekorny marzec
Mży kapuśniaczkiem w twarz,

Dzwonią od kropel rynny,
A my sobie chodzimy.

Chmury

Płyną chmury po niebie
Gromadą zawieszistą.
Promyk przez nie się przebił,
W szarej kaluży błysnął.

Płyną chmury nade mną
Leniwe, niewesołe.
Jak tu sprostać zmartwieniom,
Jakże trudem podolać?

U kogo szukać rady,
Czym zaufać dloniom?
Chmury kłują twarz gradem,
Ludzie do bram się chronią.

JANUSZ KONIUSZ

List do matki

Nie możemy się zgodzić,
bo we mnie dwa sumienia,
toczą bój bez wytchnienia,
które z nich ma przewodzić.

Jedno moje sumienie
tzwymi łzami zlepione,
w kościołach wymodlone,
pokorne, ciche, nieme.

Drugie moje sumienie
w kamieniu wiedzy kute
ostrym, partyjnym dłem.
Które wybrać? — Sam nie wiem.

Stąd u mnie ta udręka,
stąd wśród nas ta niezgoda
niby ogień i woda,
stąd ból twój, twoja męka.

O matko, męki twojej
nie skreślę zapomnieniem.
Biorę drugie sumienie
choć oba są moje.

